

Wywiad z Andrzejem Siedleckim

aktorem, reżyserem, dziennikarzem, pedagogiem część 2

Cd. ze str. 5

książeczkę drukowaną we Lwowie, wybór z pism, rozkazów i przemówień Komendanta. Zafascynował mnie jego **szczer** ton wypowiedzi na tematy ważne.

Tu muszę podkreślić słowo **szczer**. Jako aktor jestem bardzo wyczułony na prawdę, jako człowiek też. Rzeczywiście, przeważnie wyczuwam fałsz, a wypowiedzi Marszałka były dla mnie bardzo szczerze i przekonujące. Uwierzyłem mu! Tym bardziej mu wierzyłem, im więcej czytałem historyków, budujących „czarną legendę” Piłsudskiego. Szczególnie tych, którzy nie byli za niepodległością Polski lub jej suwerennością lub nie wysiedli z „tramwaju socjalizm”. Uległem więc fascynacji przez narrację Piłsudskiego. Twórca zawsze ulega jakiejś inspiracji i moją strategią było i jest robić to, co mnie w danej chwili inspiruje, co we mnie się rodzi i co muszę z siebie wyrzucić. Nie chcę traktować twórczości jako zawód, a raczej jak radosną (choć z bólami) kreację.

Nie planuję, co zrobię następnego, nie zmuszam się, jestem wolny. Więc temat „Piłsudski” zaczął się rodzić. Pojechaliśmy z żoną do Polski. Riho zbierała materiał do książki o Polsce, a ja o Piłsudskim. W Sydney zaczęłam film składać. Poza tym myślę, że Piłsudski, to bohater modelowy i godny, pod względem konsekwencji w działaniu i umiłowaniu Ojczyzny, naśladowania. Lubię postacie, na których można polegać. To męska sprawa. Na Marszałku żołnierze polegali do końca i „szli na stos”. Wierzyli mu, a teraz tak trudno o zaufanie. Wańkowicz, by chyba powiedział o totalnym „skundleniu”, niby „elit”. Jako Polak odczuwam dla Marszałka głęboki szacunek, jak i dla tych, co o wolną Polskę walczyli i pozwalali jej się odrodzić... Szkodniczy zawsze są warci pogardy i winno się ich zwalczać. Ważny jest interes wspólnoty, polskiej wspólnoty. Dla mnie temat Piłsudskiego nie jest kontrowersyjny, patrząc realnie na fakty i sytuację w tym czasie. Niezwykle czasy wymagają niezwykle ludzi i niezwykle decyzji. Także chirurgicznych cięć, czasami bolesnych, ale jednak potrzebnych dla ratowania całego organizmu. Dużo osób nie zna skomplikowanej sytuacji politycznej tego okresu, poważnych zagrożeń dla nowożydyskiej niepodległości i może za łatwo wyciąga wnioski, szczególnie o roku 1926. Smutnym przykładem na pokazie w Canberze był głos Australijczyka, który porównał zamach majowy Piłsudskiego do wprowadzenia stanu wojennego przez gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Co prawda, jeden jak i drugi ruch był niekonstytucyjny, ale to wszystko, co je łączy. Cele i sytuacja były totalnie różne. Dla mnie to porównanie było absurdalne, wynikające, jak się wydaje, z nieznaności polskiej rzeczywistości. Ale to ludziom Zachodu często się zdarza. Nawet prezydent Obama pomylił obozy niemieckie z polskimi... i cały czas mamy z tym problem, wspierany przez grupy bardzo Polsce nieżyczliwe.

Jak Pan osobiście ocenia historyczną rolę Piłsudskiego?

Bezprzecznie rola historyczna Piłsudskiego jest WIELKA, i jego zasługi dla niepodległości Polski WIELKIE, i dla mnie bezdyskusyjne. Nie znaczy to, że zasług innych osób nie widzę.

A teraz kilka osobistych pytań. Pańska uroczą małżonką Riho Okagami-Siedlecka jest z pochodzenia Japonką. Skąd pochodzi w Japonii?

Rzeczywiście uroczą i piekielnie zdolną, to moje szczęście, ale nawet nie wiem, czy

jeszcze jest prawdziwą Japonką, bo kimona nie nosi, zjada kiszzone ogórki, je śledzia po japońsku, którego w ogóle w Japonii nie ma, lubi „Belveder”, choć nie pije, zajada się faworkami, uwielbia papieskie kremówki, mnie podpowiada polskie słowa, których mi zabrakło, no i mówi cały czas po polsku, bo inaczej się nie relaksuje. I do tego, proszę sobie wyobrazić, daje mi konsultacje z polskiej historii! Takie ziółko! Właśnie pisze historię Polski po japońsku od najazdu Tatarów do współczesności.

Pochodzi z Yokohamy...

Gdzie się Państwo spotkali?

Spotkaliśmy się w Warszawie, Riho otrzymała stypendium i studiowała teatr na Uniwersytecie Warszawskim. I pewnego dnia przyszła do Teatru Szajny i spotkała przecznicę (śmiech) To znaczy mnie! Od tamtej pory jesteśmy razem. Teatr nas połączył.

Jak i gdzie Pani Riho nauczyła się tak świetnie mówić po polsku? Bez najmniejszego „obcego akcentu”.

Zacząła się uczyć trochę już w Japonii, ale tak naprawdę, to w Polsce.

Ja byłem gadatliwy, chciałem wszystko objaśnić, wytłumaczyć, a Riho słuchała, słuchała, potem odkryłem, że zapisywała sobie wszystko, czytała ze słownikiem książki o teatrze, no i te wieczory, przyznam się, w Klubie Aktora przy śledziku” chyba też pomogły... ja „nawijałem”, a ona słuchała. Odnosiłem wrażenie, że wszystko rozumie, ale po jakimś czasie, coś mnie tknęło i pytam: - Czy mnie rozumiałaś? -No, nie bardzo, ale czułam! No i jak tu się nie zakochać!... A że bez specjalnego akcentu, to zasługa świętego ucha, bo grała na pianinie.

Kiedy Pan został reżyserem, twórcą filmowym. Co Pana do tego pobudziło? Proszę streścić kolejne etapy kariery.

Właściwie pierwsze ziarenka doświadczenia reżyserskiego miałem już przy opracowywaniu programów poetyckich w Katowicach, po szkole. To tylko jakby się zdarzało. Dorobek skromny. Ale interesowało mnie zmierzenie się z czymś trudniejszym. A to właśnie reżyseria. Bo opracowując sztukę trzeba sobie nie tylko jedną rolę wyobrazić, ale wszystkie, cały świat skreowany przez autora. To mnie bardzo interesowało. Ale miałem ten luksus, że nie musiałem reżyserować, a tylko wtedy reżyserowałem, jak miałem coś do powiedzenia. Zatem reżyserem w sensie uprawiania zawodu w Polsce nie zostałem. I cieszę się z tego. I tak wypadło, że pierwszym projektem reżyserskim, była moja adaptacja noweli F. Duranmatta, która mnie zainspirowała, a którą wyreżyserowałem i pokazałem w Teatrze Ziemi Mazowieckiej w Warszawie. Zagrałem też rolę główną. To był zespół studentcko-profesjonalny „Arboretum”. Słynny Zagłoba, czyli Mieczysław Pawlikowski nagradził dla mnie tekst do sztuki. Dla młode-

go aktora to była przygoda! Tenże sam projekt przedłożyłem do egzaminu na reżyserię. Dziekan reżyserii, prof. Korzeniewski stwierdził, że mam reżyserską wyobraźnię. To wystarczyło, by mieć odwagę na później. I w Kalifornii przygotowałem prezentację sztuki „Przed Sklepem Jubilera” K. Wojtyły. Bernard Kawka z „Novi Singers” improwizował muzykę. To był duży sukces! Potem powtórzyłem sztukę z moim zespołem aktorskim w Warszawie. Też duży sukces, zbieraliśmy dobre opinie, a graliśmy do pierwszego dnia stanu wojennego. Najwięcej jednak teatralnych reżyserii przypadło na sceny Sydney: w Parramatta Riverside Theatre, Cicada Theatre w Pilgrim Theatre, Voices Theatre Darka Paczyńskiego, The Drama Studio i dwie reżyserie dla mojego zespołu Outlet Theatre na scenach w Balmain. Te reżyserie teatralne, to raczej takie sporadyczne kwiatki.

Ale zainteresowanie nie gasło i po warsztacie reżyserskim dla NIDA, założyłem studio reżyserskie w Sydney, później w swoim domu, co było moim marzeniem, miałem swoich studentów, pokazy i uczyłem aktorstwa i reżyserii w college'ach. Z tego doświadczenia zrodziła się trzecia książka o reżyserii teatralnej. Od czasu do czasu pracowałem dla telewizji SBS w Vox Populi, radia ABC i SBS, występowałem z koleżankami i kolegami dla Polonii.

A film? No cóż, „składaczem obrazków” jestem. Podkładałem je pod swój tekst, dodaję jakieś efekty muzyczne i to wszystko. Cieszę się, że komuś się podobają, że w kraju na Festiwalach filmy otrzymują nagrody. To satysfakcjonuje, ale zawodowym filmowcem nie jestem. Co mnie pobudziło?

W kraju, kiedy w teatrze było nieciekawie, to chciałem robić dokumenty i dla telewizji zrobiłem film dokumentalny „Manggha - Polski Japończyk” o kolekcji japończyka Feliksa Jasińskiego z Krakowa. Byłem nimi zachwycony, a były schowane w piwnicach. (1987) Należało je pokazać, więc doprowadziłem do wystawy zbiorów Jasińskiego w „Zachęcie” i Warszawa drugi raz, od 1901 roku, znowu zobaczyła piękną kolekcję drzeworytów japońskich. Podczas wystawy wyświetlano mój film. Debiut

z Mangghi został dobrze oceniony, więc skrzyłem film z tej wystawy pt: „Sztuka japońska w Warszawie”, wyświetlany w TV i 15-sto minutowy o samym Jasińskim. To był 1988 rok. Dobrze szło, więc poszedłem za „uderzeniem” i w tym samym roku napisałem scenariusz i wyreżyserowałem tryptyk telewizyjny, złożony z poezji i przy-

japońskiej pt: „Nistałość wszechrzeczy”. Pierwszy tego typu program w Polsce. Wtedy siedząc w studio pierwszy raz poczułem się reżyserem. Mając chyba niezłą opinię o zrealizowanych i wyświetlonych w TV moich „japonaliach”, Japończycy zwrócili się do mnie żebym nakręcił, w porozumieniu z polską telewizją, „coś” dla uczczenia rocznicy nawiązania stosunków polsko - japońskich. Z finansami nie było problemu. Napisałem więc konspekt filmu pt: „Japan Yesterday, Today and Tomorrow”. Japończycy zaakceptowali mój pomysł, ale już mnie nie wpuszczono do telewizyjnej redakcji, tej właśnie, w której poprzednio kręciłem dokument „Manggha-Polski Japończyk”. Do Japonii pojechały dwie panie redaktorki.

Panie Andrzeju. Jest Pan aktorem, filmowcem, dziennikarzem i pedagogiem. Jak Pan potrafi przez tyle twórczych

lat łączyć te wszystkie zainteresowania - może lepszym określeniem byłoby „powołania”? I jeszcze działać w Polonii Australijskiej?

Już na szczęśliwej emeryturze. Jakoś, to się wszystko łączyło, ja wybierałem sytuację, sytuacja wybierała mnie, ale uważam siebie przede wszystkim za aktora. Reszta, to przydatki, role, na które jakoś było mnie stać, a że zyskały akceptację, to jestem bardzo wdzięczny tym, co je zaakceptowali. To mi daje miłe poczucie, że byłem pożyteczny i nie zmarnowałem danych mi możliwości. Cieszę się, że innym też mogłem coś zaoferować. Także Polonii, która doceniła moją działalność, nagradzając mnie nagrodą „Orła”, za promocję polskiej kultury i literatury.

Chciałem też uczyć, przekazać moje doświadczenie aktorskie, Ale żeby uczyć profesjonalnie, skończyłem na University of Sydney studia podyplomowe i otrzymałem Diploma in Education, mogłem więc uczyć „Dramy” i nawet języka. Napisałem też książki o technice aktorskiej, reżyserii i pracy głosem. 16 lat prowadziłem Polskie Studia na Macquarie University. Były skazane na zamknięcie, ale udało mi się, wbrew przeciwnościom, uratować Studia na 16 lat. Z tego jestem najbardziej dumny!

Więc te wszystkie „role” wypełniały mi czas.

Reżyserując sztukę „Waiting for Godot” Becketta uświadomiłem sobie, że swoim istnieniem i działalnością człowiek **wypełnia** swe życie od urodzenia do śmierci. Więc dalej **wypełniam**, jak umiem. A że Tata mi powiedział:- „Cokolwiek robisz, rób dobrze”, to staram się tę receptę realizować.

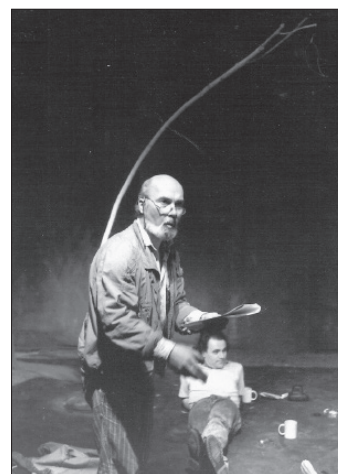
Co skłoniło Pana do wyemigrowania do Australii? W którym to było roku?

Nie była to łatwa decyzja. Zapłaciłem za nią cenę. Ale zawsze chciałem żyć w wolnym, bardziej normalnym świecie, weselszym, bardziej kolorowym, takim z obrazów impresjonistów, z możliwościami, w świecie, gdzie można realizować marzenia. I tu je realizowałem...i dalej, mam nadzieję będę je realizował. A przyjechaliśmy w roku 1988, w rocznicę 200-lecia Australii.

Serdecznie dziękujemy za rozmowę.

PS: Zainteresowani filmem Piłsudski. Dla Polski żyć i innymi nagrodzonymi filmami A.Siedleckiego proszeni są o kontakt: andrzej.siedlecki1@gmail.com

Zdjęcia pochodzą z archiwum prywatnego Pana Andrzeja Siedleckiego



Reżyserując „Waiting for Godot”



Riho, towarzysza życia i „piszący ideał” Pana Andrzeja



Andrzej Siedlecki jako pastor Henry w filmie japońskim

z Mangghi został dobrze oceniony, więc skrzyłem film z tej wystawy pt: „Sztuka japońska w Warszawie”, wyświetlany w TV i 15-sto minutowy o samym Jasińskim. To był 1988 rok. Dobrze szło, więc poszedłem za „uderzeniem” i w tym samym roku napisałem scenariusz i wyreżyserowałem tryptyk telewizyjny, złożony z poezji i przy-